

Magdalena Gawin: Wańkowicz krzepi

Wyciskał siódme poty z polszczyzny. Wwiercał się w niepowtarzalne życiorysy. Grał na nosie III Rzeszy, Sowietom i Gomułce. I nic a nic się nie zestarzał – w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Wańkowicz. Między reportażem a gawędą” przypominamy artykuł Magdaleny Gawin.

Wańkowicza zawsze warto przeczytać jeszcze raz. Autor „Bitwy o Monte Cassino”, „Ziela na kraterze”, „Szczenięcych lat”, „W Kościołach Meksyku”, „Anody i katody”, „Września żagwiącego” po zakolach historii poruszał się jak doświadczony podróżnik, który bez trudu zajmuje najlepsze miejscówki i zawsze dociera do celu, do samego sedna zdarzeń. Historia była dla niego obcowaniem z żywą, tętniącą materią, której kolejne warstwy odkrywał z ostrożnością i wyczuciem, tak aby nie przerwać łączących je naczyń.

Reportaże Wańkowicza są antytezą warsztatu społecznego historyka, który chłodnym spojrzeniem redukuje chłopów i robotników do ziarnistej masy zaspokajającej swoje biologiczne potrzeby pokarmu, seksu i bezpieczeństwa. Wańkowicz indywidualizował, zanim indywidualizacja losów stała się modna. Zwyczajność i powszedniość torowała w jego utworach rozumienie procesów społecznych i polityki. To historia, którą uprawiają wytrawni pisarze i przed którą kapitulują co roztropniejsi naukowcy.

Dobrze się stało, że autorzy wstępów do poszerzonej i nieocenzurowanej edycji dzieł Wańkowicza, w tym m.in. Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Norman Davis, Agata Szwedowicz, Wojciech Cejrowski, Marek Radziwon, Jan Gondowicz i Robert Traba, ograniczyli do minimum wyliczanie „błędów Wańkowicza”, a skoncentrowali się na kontekście powstania poszczególnych utworów i sednie, czyli zagadce popularności jego pisarstwa.

Mieszanie taksa z chartem

Swoim kpiarskim, ciepłym spojrzeniem Wańkowicz obejmował ziemian, białoruskich i ukraińskich chłopów, Żydów, Tatarów, zdziwaczałe właścicielki pensjonatów, nieudaczných urzędników, pocziwych policjantów, starych belfrów, dając wspaniały, różnorodny przekrój Kresów. Interesowały go pogranicza kultury i cywilizacji; ciekawość gnała go do podlaskich wsi i dworów, na śląskie hałdy, do mazurskich chałup i warmińskich jezior, do egzotycznego Meksyku, do porewolucyjnej Rosji. „Kaźda granica ma w sobie coś niesamowitego i mistycznego” – wyznawał.

W kaźdej opowieści, etiudzie i rozrosłej historii czytelnika Wańkowicza uderza język; żyzny, pełen neologizmów, wtrąceń, metafor, idiomów. W jego reportażach zatopiona jest literacka gawęda i dziewiętnastowieczna fraza pamiętnikarska, które przenikają się z wyrazistą, ciętą puentą charakterystyczną dla narracji nowoczesnych mediów i reklamy: „W dalekiej Warszawie był rząd, sąd, w papierki

wgląd". Wańkowicz bawił się językiem, mieszał style i gatunki, celowo naginał i łamał zasady gramatyki, improwizował i dawał czytelnikowi możliwość posmakowania najpiękniejszej polszczyzny.

*Wańkowicz bawił się językiem,
mieszał style i gatunki, celowo
naginał i łamał zasady
gramatyki, improwizował i
dawał czytelnikowi możliwość
posmakowania najpiękniejszej
polszczyzny*

Puryści językowi
mazali mu po
tekstach i próbowali
wykreślać
rusycyzmy,
neologizmy,
rozsupływać jego
zamotoane
czasowniki, które
brali za niechlujstwo.

„Co ten człowiek wyrabia z przedrostkami! – dziwił się recenzent »Ziela na kraterze« – Przypstrzenia, przyszantażować, podbaronić, ukobiecić, zagłupić, worywać, wywrzasnąć, zaspoleczniony, doranny, naklapły, nawiadywać się...”. Z czasem i pedanci machnęli ręką. „A mnie ciągle oblegają słowa łaziki, obieżyświaty, które mamy-taty zapomniały, mieszańce taksa z chartem, indyka z żyrafą, ciągle to mnie ciągnie za nogawkę, liże za uchem” – cieszył się pisarz.

Pisał dużo. Za reportaże „Na tropach Smętka” opisujące życie codzienne w Prusach Wschodnich został uznany za wroga Rzeszy. W postaciach wioskowych gaulejterów i zastraszonej resztki Polaków opisał działanie niemieckiej maszyny państwowej gniożącej wszystko, co przypominało o Kaszubach, i o zgrozo!, obrazo najpotworniejsza! – obecności kultury polskiej na Warmii i Mazurach. Kiedy dyplomatyczne

naciski Niemców wycofania z księgarskich półek „Smętka” zawiodły, jego reportaże przełożono w małym nakładzie na niemiecki. Nie dla czytelników, w celach instruktażowych, dla niemieckiego wywiadu.

Zwykle intuicja prowadziła go w dobrą stronę. Wywichnął pióro raz, na Sowiech. Zderzenie jego „Opierzonej rewolucji” z „Myślą w obcęgach” Stanisława Cata-Mackiewicza pokazuje, że w stawianych tam diagnozach nie miał racji. Wbrew pozorom nie uległ sowieckiej propagandzie; pieśni o elektryfikacji i froncie pracy, ale raczej własnemu „chciejstwu”. Pamiętał Petersburg pogrążony w krwawej rewolucji, świadczył o bestialstwie bolszewików, uważał, że stara cywilizacja i Europa się kończą. Był porażony hitlerowskimi Niemcami i bezradnością Polski. Na Rosję patrzył jak na dokonujący się eksperyment, który pochłania czas, odwraca uwagę, obrasta w pierze.

Już po I wojnie światowej stracił rodzinny kresowy majątek. Kiedy Niemcy i Sowiety w najściślejszej współpracy napadły na Polskę we wrześniu 1939 roku, stracił po raz drugi wszystko. W Lublinie usłyszał głos niemieckiego spikera radiowego: „Dojdziemy do Wańkowicza po tropach Smętka”. Musiał uciekać. Przedostał się na Zachód, pracował jako korespondent wojenny u boku 2. Korpusu armii gen. Andersa. Po wojnie mieszkał w Anglii i USA.

Szyderstwa jak komary

Jedną z najbardziej ważnych decyzji Wańkowicza dotyczyła powrotu do Polski w 1958 roku. Zgoda na powrót musiała być, jak w każdym posttotalitarnym reżimie, wynegocjowana z władzami. W 1957 r. w

Polsce wyszła kolejna edycja „Ziela na kraterze”, pierwsze wydanie zmaltretowanego przez cenzurę „Monte Cassino”. W 1959 r. na półki księgarskie trafiło „Westerplatte” i „Hubalczycy”. Tadeusz Katelbach, zajadły emigracyjny polityk, potępił Wańkowicza. Użył dobrze znanego argumentu: „mógł wybrać wolność, wybrał – PRL”. Ale w tym czasie, oprócz ubeków i sekretarzy partyjnych, po ulicach chodziły tysiące AK-owców, żołnierzy Armii Andersa, powstańców warszawskich, więźniów gułagów, obozów koncentracyjnych, stalinowskich katowni; ludzi przymuszonych do życia w PRL. Maria Dąbrowska pod datą 31 marca 1959 roku opisała pierwsze spotkanie Wańkowicza z czytelnikami w Sali Kongresowej: „Ludzie się bili o wejście na ten odczyt. Sala na 4 tysiące osób, a jeszcze mrowie ludzi odeszło, nie dostawszy się”.

*Pod piórem Wańkowicza,
który powiadał, że
zapomnienie jest powtórą
śmiercią, ożywały postaci
żołnierzy Września, Polskich
Sił Zbrojnych na Zachodzie,
AK-owskiej partyzantki*

Plan ubeków
uczynienia z
przyjazdu
Wańkowicza
propagandowego
sukcesu PRL posypał
się dość szybko.
Wzmianki w
gazetach, telewizji i
relacja w „Kronice

filmowej” nie były warte strat, jakie Wańkowicz wyrządzał. Po jego odczytach blakły postacie berlingowców, oddalały się zmory żołdatów w papachach, topniał państwowy kult Armii Ludowej. Pod piórem Wańkowicza, który powiadał, że zapomnienie jest powtórą śmiercią, ożywały postaci żołnierzy Września, Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, AK-owskiej partyzantki. Czy Hubal, porównany przez pisarza do styczniowego powstańca (sic!), zastrzelony, wieziony na

wozie pełnym gnoju, w kozuchu i z dawno niegoloną brodą, nie przywodził na myśl czytelnikom innych partyzantów zamordowanych z rąk NKWD lub UB?

Decyzję o powrocie Wańkowicza do Polski należy oceniać w szerokim kontekście. Warto pamiętać, że nie splamił się reżimowymi utworami, współpracą z bezpieką, nie paradował w górniczej czapce, nie podlizywał się władzy. Z donosów i obserwacji ubecy wysmażyli mu obszerne dossier. Ignorował rewizjonistyczną młodzież, nurty historii krytycznej przyjmował z niesmakiem, w dyskusję na temat bohaterszczyzny, jaka rozpętała się po jego książce o Hubalu, po prostu nie dał się wciągnąć. Uważał, że „orgię niewybrednych szyderstw” wszczęło, co znamienne – nie pokolenie AK-owców i partyzantów, tylko ich następców, „którzy nie wachali prochu”.

Podkreślał: „Nie zapoznając ważkości »imponderabiliów«, z których mogą kpić tylko ludzie płytki, nie zapominajmy, że szyderstwa – to są komary, do których nie ma co bić aż z dział najcięższych. Że natomiast uzupełnianie braków naszego myślenia wymaga istotnie wielkiego, codziennego wysiłku przez uczenie szacunku dla pracy, przez poszerzanie odpowiedzialnego obywatelskiego myślenia”. Warto wskazanie Kresowego Żubra pamiętać także dzisiaj; robić swoje, a szyderstwa zostawić – ludziom płytkim.

Magdalena Gawin

Fot. Monika Olszewska

Tekst ukazał się pierwotnie w tygodniku Rzeczypospolitej "Plus Minus"

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**